

country-reportaż



wielka
mazurska
przygoda



Ona jest z Krakowa, on z Warszawy.
Zamarzyła im się skromna
wakacyjna chałupka na Mazurach,
życie jednak płata figle.
Kupili pałac, otworzyli
manufakturę ceramiczną i chcą
jak najprędzej porzucić miasto.





T

To miało być coś jeszcze mniejszego niż chatka, może jakaś obórka.
- Ponieważ jednak mam tendencje do nakręcania się na rzeczy dużo większe, pierwsze miejsce, jakie pojechałem oglądać, było pałacem na Pomorzcu - mówi z uśmiechem Piotr Cizek.

I tak to się zaczęło. Zjeździł z żoną całe Mazury, oglądając siedlisko po siedlisku. Ale wszystko było albo już kupione, albo w stanie totalnej ruiny. Nie poddał się jednak. Przez cztery miesiące w każdy weekend wsiadał w samochód i znikał z domu. Żona już podejrzewała, że kogoś ma. Aż pewnego dnia oznajmił, że coś znalazł, po chwili dodał, że pałac. - Najpierw pokazał mi mnóstwo poszczerbionych murów, a w piękny czerwcowy dzień zawiózł do Nakomiad - wspomina pani Joanna.

Pałac stoi na wzgórzu, z którego rozpościerają się wspaniale widoki na pola i pastwiska. Wesoło harcują po nich kruki, majestatycznie przechadzają się bociany, a wysoko w górze szybują żurawie. Poza tym cisza i spokój. I do Wielkich Jezior Mazurskich niedaleko. Trudno się więc dziwić żonie Piotra, że choć pałac nie był w dobrej formie, dała się wciągnąć w wielką mazurską przygodę. Nie odstraszyły jej wycięte deski z podłóg, wyrąbane siekierami drzwi i zawiasy, dziury w dachu, zatopione piwnice, rynny, w których rosły brzozy i wierzby. Ani zapuszczony trzystuletni park, w którym później znaleźli 800 butelek po radzieckim szampanie. Ani to, że gdy rządził się tu PCR, w stawie myto traktory, a w pięknej zabytkowej kapliczce stały worki chemikaliów do opryskiwania roślin.

- Dlaczego się na to porwałem? Bo w dzieciństwie oglądałem „Wakacje z duchami” i czytałem „Pana Samochodzika i templariuszy” - mówi ze szczerym śmiechem pan Piotr. - Poza tym to fantastyczna przygoda - dodaje.

Od 1998 roku pałac i park przechodzą przemiany, które w końcu doprowadzą do tego, że będą wyglądać tak, jak 300 lat temu. Piotr i Joanna w Nakomiadach otworzyli również manufakturę.





Ten pomysł powstał wtedy, gdy okazało się, że będą potrzebne im piece kaflowe do pałacu. - Takich tradycyjnych nie można nigdzie kupić, trzeba więc zrobić je samemu - pomyślałem. - Z kolei jeśli robię je dla siebie, to dlaczego mam ich nie sprzedawać innym?

Ale zanim manufaktura ruszyła, były cztery lata przygotowań, szkoleń. Piotr postanowił zatrudnić bezrobotnych, którzy stracili pracę po upadku PGR. Dziś kilka osób formuje, maluje, a potem wypala prześlizgane miniaturki wzorowane na osiemnastowiecznych piecach kaflowych, które ozdabiały sale ziemiańskich siedzib w Prusach Książęcych (ówczesnych zdunów z kolei inspirowały piece gdańskie i elbląskie). W niewielkim warsztacie powstają także olbrzymie naturalnych rozmiarów. Kafle sygnowane są datą 1704 - na pamiątkę pierwszej manufaktury w Nakomiadach. Do każdego pieca dołączona jest karteczka z informacją o rodzinie, u której stał pierwowzór lub z krótką historią miejsca, z którego pochodzi.

I po co to wszystko? - To taki nasz protest przeciwko zalewającej nas chińskiej brzydocie - mówi Piotr, a po chwili dodaje: - Chciałbym wykonać repliki wszystkich pieców kaflowych i ustawić je w pałacowej sali. No i żeby te nasze „ciasteczka”, jak je żartobliwie nazywam, były tak znane, jak te z manufaktur w Kadynach czy Nieborowie.

Oprócz pałacu i przygody Joanna i Piotr zyskali jeszcze jedną wielką wartość. Przyjaźń dawnych właścicieli pałacu. Zaraz po tym, jak wygrali przetarg, odwiedził ich Christian, syn Eberharda von Redeckera, który wraz z rodziną opuścił Nakomiady w 1945 roku. A w dniu podpisywania aktu notarialnego przyjechał sam 95-letni Eberhard, który oprowadził ich po swoim dawnym rodzinnym domu.

- Wszyscy nas pytali, czy nie boimy się, że poprzedni właściciele będą dochodzić swoich praw i odbiorą nam pałac. Ale ja myślę, że szybciej







można stracić mieszkanie czy samochód, nie płacąc rat w banku - mówi Piotr.

Okazało się, że rodzina von Redeckerów jest bardzo dobrze nastawiona do nowych właścicieli. Zależało jej, by pałac ktoś kupił. Nie mogli patrzeć, jak ich dom zamienia się w ruinę.

- Kiedyś zorganizowaliśmy dla nich obiad. Przyjechali wszyscy, od dziadka po prawnuki. To było dla nich wielkie przeżycie, a ja uświadomiłem sobie, że właśnie siedzę przy stole z człowiekiem, który ostatnio jadł obiad we własnym domu 60 lat temu. Wzruszyłem się. A gdy byliśmy u nich, dostaliśmy prezent - rodowy komplet sztućców dla dwóch osób, który udało im się uratować z wojennej pożogi. Ilu z nas dałoby obcej osobie tak cenną rodzinną pamiątkę? Wiem, że kamień spadł im z serca, gdy dowiedzieli się, że to my zaopiekujemy się pałacem. Podobno Eberhard tuż przed śmiercią powiedział: - Najważniejsze, że dom jest w dobrych rękach.

Jego prochy spoczęły w Nakomiadach, przy rodzicach. Tak chciał. Piotr na jego cześć nazwał staryjesion w parku i historia toczy się dalej. Nakomiady znów rozkwitają. I to nie tylko sam pałac i park, ale cała wioska. - Zorganizowaliśmy konkurs na najładniejszy ogródek. No i chwyciło. Ludzie najpierw zaczęli dbać o swoje skrawki ziemi, potem remontować domy. Chyba zrozumieli, że to jest ich, a czasy PGR-u dawno minęły.

Historia Joanny i Piotra podnosi na duchu - wystarczyło dwoje upartych ludzi, by z brzydkiej, zapomnianej wioski Nakomiady przeistoczyły się w uroczy zakątek, o którym świat jeszcze z pewnością usłyszy. ■

TEKST RENATA BARAŃSKA
FOTOGRAFIE RAFAL LIPSKI, PIOTR CISZEK, GRZEGORZ KAPLA
MINIATURY PIECÓW MOŻNA KUPIĆ W SIECI SKLEPÓW ALMI DECOR

